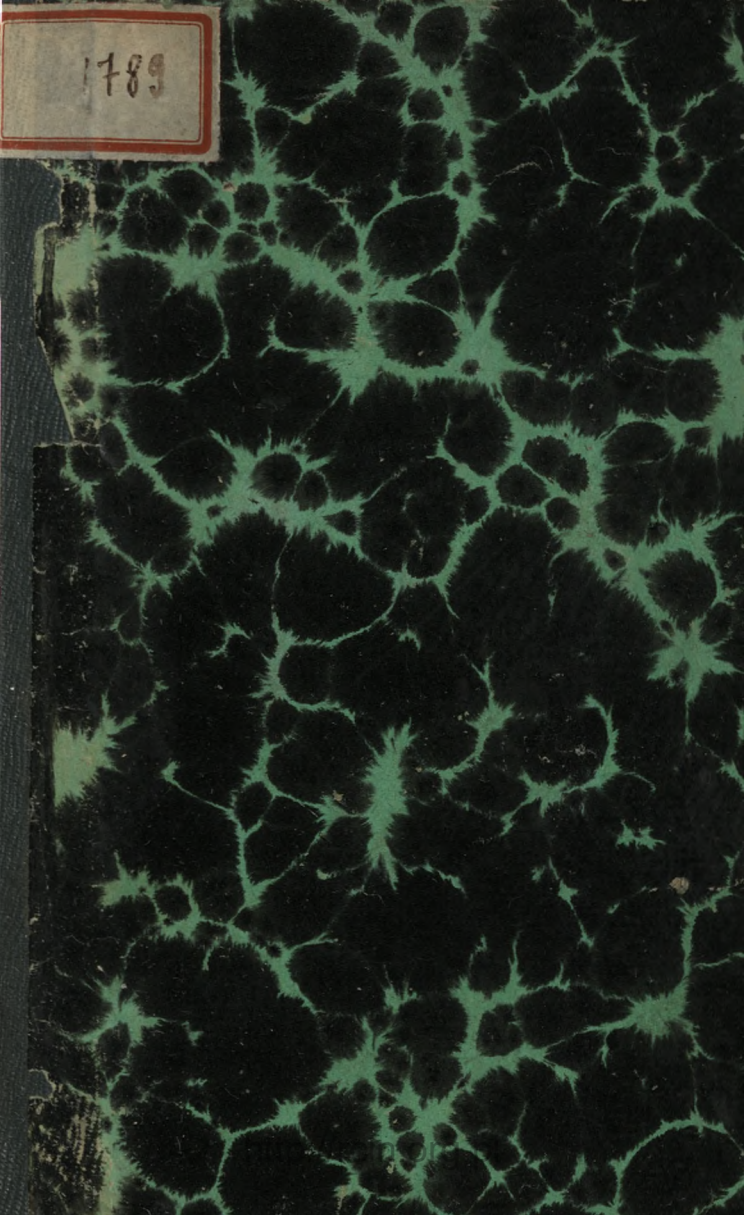


1789



L. Garbaczewska.
ELIZA ORZESZKOWA

BABUNIA

WYDANIE NOWE



1789

NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA == LUBLIN == ŁÓDŹ
KRAKÓW == G. GEBETHNER I SPÓŁKA
NEW YORK THE POLISH BOOK IMPORT. CO, INC.
POZNAŃ — KSIĘGARNIA M. NIEMIERKIEWICZA

I-2718



I.

W sukni czarnej, w białym czepku na siwych włosach siedziała w pokoju chorych wnuków i przy świetle małej lampy robiła pończoszkę. Synowa, po paru nocach, spędzonych nad łóżeczkami maleństw, spała w pokoju najodleglejszym; w sąsiednim syn pilnie pracował przy biurku. Za oknami ulica ustronna milczała grobowo, bo wieczór był już późny. Chore dzieci spały, babunia dumiała. Prędko, prędko obracała druty pończoszki w palcach żółtawych, na które padało światło lampy; twarz, osłonioną cieniem, jak woalem, pochylała nad robotą i dumiała.

Co się stało biednym maleństwom, że tak nagle zachorowały? Lekarz, przyjaciel domu, gdy je oglądał, miał minę strapioną. O, Boże! Dzieci, to szkło kruche, to lekkie listki jesienne; lada co może je skruszyć i zdmuchnąć! O, Boże! Smutno na ziemi. Każde dobro niepewne, każdy skarb nie-trwały; dziś jest, jutro może już nie być; rzadki dzień bez wspomnień żalonych lub przewidywań trwoźnych. Powiadają ludzie, że wspomnienia są klejnotami, zgromadzonemi na porę ubóstwa. Może

inni tak czują, ona nie. Dla niej wspomnienie — to obrazu kochane, oprawione w łyzy, a dlatego w łyzy, że może patrzeć na nie oczyma suchemi.

Ale, co im się stało, co im jest, tym kociećom drogim? Na Wandeczkę lekarz weselej trochę spoglądał, ale Tadzio zaniepokoił go widocznie. Bo też chłopczyna ten nie jest wcale dzieckiem zwykłym, a dzieci niezwykle... o, Boże !...

W domu i za domem cisza głęboka i jeden tylko jest w niej odgłos: w sąsiednim pokoju pióro skrzypi po papierze, równo i ciągle. Niekiedy też chore dziecko zaszeleści w pościółce i z cicha zastęka; wtedy babunia podnosi głowę i, pochylona ku łóżeczkom, wsłuchana, oczekująca, tak wygląda, jakby na pierwsze kiwnięcie palcem tej mary, która zwie się nieszczęściem, gotową była biedz, lecieć, osłaniać, bronić... Ale dzieci śpią ciągle. Może to być sen sztuczny, przywołany przez tę miksturę, która we flaszcze stoi na stoliku i sztywną receptą sterczy pod światłem lampy. Flaszka z receptą w świetle lampy przysłonionej ma w sobie coś ponurego. Ponurość płynie z ciszy grobowej, która dom napełnia, z długich cieni, które od sprzętów padają na ściany, z nierównych oddechów chorych dzieci, z równego ciągłego skrzypienia pióra po papierze w pokoju sąsiednim.

Jak on pracuje, ten wysoki, barczysty człowiek, o północy schylony jeszcze nad biurkiem! Babunia widzi przez drzwi w pół otwarte plecy jego przygarbione, głowę, z siwiejącymi włosami, profil surowy, z goryczą na ustach i siecią zmarszczek na czole. Z postawy i rysów ten syn po-

dobny do ojca, ale nie z charakteru. Jaś był wesoły, otwarty, odważny, miał dłoń wiecznie rozwartą przed ludźmi, a dla niej — choć już siwieli oboje — serce kochanka. Zygmus jest skrytym, ostrożnym i ostrym — nawet dla matki. Ona go nie potępia za to, o, nie! Gdzież tam! Wie doskonale, że szorstka ręka życia zmięła w ten sposób duszę jej syna, znużyła ją i zaprawiła goryczą. Jaś także cierpiał wiele, ale w sposób inny. Babunia umie rozróżniać gatunki ciepłych: tyle ich widziała! Nieszczęściem Zygmunia jest to, że żyje w momencie twardym dla życia. Bóle skrywane zaśląły mu, jak kamienie, dno duszy; reszty dokonała praca znojna, z nagrodą zbyt szczupłą. Babunia uniewinnia syna, bo siwa jej głowa pod białym czepkiem myśli więcej i rozumie głębiej, niż się to zdaje otaczającym. Niemniej przyznać się musi przed samą sobą, że trochę lęka się Zygmunia. Nie dlatego, aby wyrządził jej kiedy jaką krzywdę, albo dotkliwą obrazę; owszem, nie uchybia nigdy ceremoniałowi uszanowania synowskiego. Ale ona wie, że ten ceremoniał to forma, z której miłość uciekła. Była kiedyś! Widuje ją i teraz na obrazach, oprawionych w łązy, ale inaczej już nigdy, oddawna. Przytem natura jej miękka i wrażliwa cofa się z trwogą przed głosem ostrym, gestem szorstkim, wejrzeniem chmurnem. Starość uczyniła ją nieśmiałą i wciąż szepce do ucha: »Nie dokucaj, nie nasuwaj się na oczy, nie przyczyniaj nikomu ciężaru lub więzów«! Więc z jednej strony ceruje i łąta swoją odzież, a z drugiej usuwa się w kącik najgłębszy życia domowego. Pomimo to

jeszcze czuje, że zawadza. Synowa, kobieta uczciwa, lecz oschła i wiecznie stroskana, wołałaby mieć w domu siostrę swoją, niżeli matkę męża; usuwa też ją od dzieci, może zazdrosna o ich serca. I ma prawo to czynić, ma prawo! Jest im najbliższą, one do niej należą. Nawet pokoik pod dachem przydałby się bardzo dla wnuczki najstarszej, już podrastającej. Słowami nikt jej nic nie wyrzuca; lecz zdarzają się spojrzenia, gesty, równie wyraźne, jak słowa: a jej i tego nie potrzeba, aby rozumiała, że jest u tego wozu piętrem kołem, w tej księdze kartą zżółkłą, z pismem zbladłym, której nikt już czytać nie chce. Więc i nie upomina się o to nigdy. Cokolwiek czuje i myśli, nie zwierza tego przed nikim; wszyscy też mniemają, że lata zgasiły w niej do szczętu wszystkie ogień i wszystko światło. Otrzymuje z łaski syna to, czego jej jeszcze potrzeba: kąpiel ciepłą, pożywienie, odzież; gdyby występowała z pretensjami innymi, byłaby wprost śmieszna. To też nie występuje; lecz niekiedy bardzo wyraźnie czuje w sobie jeszcze duszę ludzką, duszę kobiecą, której rosół nasycić, ani piec ciepły rozgrzać nie może, która też kurczy się i napełnia smutkiem od głodu i chłodu, nieznanego ciała. Ciało syte, dusza głodna; ale babuniu jest rozsądną i uczucie osamotnienia głębokiego kryje przed ludźmi, jak zbrodnię. Tylko często, z głową schyloną i rękoma splecionymi dokoła opadłej na kolana pończoszki, odmawia długi różaniec imion drogich, umilkłych na wieki: a wtedy, to wszystko, co napełnia jej duszę, szczelnie zamkniętą, wylewa się przez oczy kroplami, pełnymi obrazów. Na tych

obrazach jaśnieją, uśmiechają się, po imieniu ją nazywają oblicza pogaste na wieki, drogie, a wśród nich najczęściej, najnatarczywiej, najrzewniej, jedno — najdroższe...

Jednak, w tej chwili, wszystko, co od lat wielu było jej samotnością serdeczną; tęsknotą, żalem, nazywa urojeniami pustemi i grzesznemi. Gorzko wyrzuca sobie, że mogła smucić się, albo pragnąć czegokolwiek, wtedy, gdy dzieci były zdrowe. Jakże była samolubną i marną! Pragnąć czegokolwiek, cierpieć, gdy te drogie kocięta są zdrowe i wesołe — to złość i głupota! Teraz dopiero oko w oko spogląda nieszczęściu prawdziwemu. O życie obojga drży zarówno, lecz musi przyznać się przed Bogiem i sobą, że... no, cóż robić! grzeszną jest, lecz z pomiędzy wnuków, z pomiędzy wszystkich istot żyjących, najwięcej kocha — Tadzia: to z pośród kociąt kocię najdroższe. Dziwnie podobny do nieboszczyka Jasia: to samo czoło białe i otwarte, te same oczy błękitne, jak niebo. I ono jedno z rodziny lgnie do niej serdecznie, na jej widok biegnie, rozwierając ramiona, jak ptaszę skrzydła; spędza też z nią często szare godziny zimowe...

II.

Bo w zimowe wieczory babunia przesiaduje najczęściej w pokoiku swoim i odmawia różaniec imion drogich, umilkłych w śmierci lub w oddaleniu; wspomina, a tymczasem szara godzina coraz

ciemnieje, ciemnieje, aż pokoik na górze z jednym oknem napełnia się grubym zmrokiem. Wtedy zaczyna stawać się wkoło niej rzecz szczególna. W grubym zmroku zaczynają powstawać formy białawe lub czarne, zrazu jedna, potem kilka, kilkanaście, coraz więcej. Babunia jednak ani lęka się, ani dziwi, bo wie oddawna, że są to widma rozsianych po świecie grobowców, które w ciemności ciszy przybywają do niej, mnożą się i stają tak licznymi, jakby kto je tu nasiał pełną garścią. Dokoła fotelu, na którym siedzi, pośrodku pokoju, we wszystkich jego kątach, bieleją w szarym zmroku widma grobowców, wyższe, niższe, pośród których krzyże czarne rozstawione ramionami zmrok ten przeryniają. A wśród tych form białawych i czarnych przeszłość lata na cichych skrzydłach i... szeptce — szeptce imiona zdrobniałe, słowa serdeczne, rozmowy poufne: wszystko, co serce miało, utraciło, a pamięć podjęła dla przechowania dośmiertnego. Szara godzina, pełna białawych i czarnych widm grobowców i krzyży, napełnia się jeszcze szeptem, w który babunia wsłuchuje się pilnie, gdy z oczu jej na suknię czarną pada tyle kropli gorących, ile słów dokoła jej białego czepca wyszeptuje przeszłość.

Wtem — skrzyp! drzwi otwierają się powoli i głosik dziecinny zapytuje:

— Czy babunia śpi?

— Nie śpię, kocię najdroższe, nie śpię! a co tam takiego?

— Nic, ja tak sobie... *psysedlem* do babuni... — I już jest na jej kolanach. Zapaliłaby lampę, ale

tak mocno oplótl ją ramionami, że poruszyć się jej nie daje. Po co lampa? I pociemku można całować babunię to w jeden policzek, to w drugi, przyglądać jej włosy nad czołem i głosikiem cieniutkim prosić:

— Babuniu, *wielse!*

Bo była to namiętność tego malca: uczyć się z ust babuni wszystkiego, co tylko ona sama na pamięć umiała.

Więc rozpoczyna się duet:

— A czy znasz ty, bracie młody,
Twoje ziemie, twoje wody?

— A czy znasz ty, blacie młody,
Twoje ziemie, twoje wody?

Za jej głosem łagodnym srebrny głosik dziecinny powtarza rymy, strofy. Widma grobowców i krzyży znikają; od dwu twarzy, ku sobie przybliżonych, bije w grubą, szarą godzinę luna zachwycenia...

III.

Cyt! poruszył się, jęknął, w pół świetle rozległ się szept świszczący: pić!... gorączka. Babunia porwała się z krzesła i tak lekko, jakby miała nogi dwudziestoletnie, przybiegła do małego łóżka. Szklanka z napojem, przyłożona do ust otwierających się, jak dziobek ptaszęcy, kilka słów, zamienionych pieszczotliwymi głosami — dziecko spało

znowu. Spało, lecz niespokojnie, z oddechem przyspieszonym, z drganiem bólu na tem drobnem czole, które było tak uderzająco podobnem do czoła nieboszczyka Jasia. Pochylona, z oczyma wlepionemi w dziecko chore, z rękoma bielejącemi, jak opłatki na sukni czarnej, babunia myślą wołała coraz błagalniej: Boże! Boże! Boże! — Nic nad to jedno imię myślą wymówić nie mogła, lecz wlała w nie wszystkie siły, cały wzlot, całe naprężenie serca strwożonego. Więc nie spostrzegła, że do pokoju weszły dwie kobiety i przy niej stanęły. Jedna z nich szeptała:

— Niech mama już spać idzie. Adelka przyszła i będzie czuwać nad dziećmi do rana.

Adelka, siostra synowej, podstarzała panna, w jedwabnej sukni, z chłodnemi oczyma i zaciętymi ustami... W sercu babuni zawrzało. Dlaczego ma ustępować przed Adelką? Matka, to co innego, ale ta... prawie obca! Jedwabną suknią przy samej główce dziecka szeleści, zbudzić je może, a potem sama zasnąć gotowa, bo serce jej nie będzie pewno młotem takim, przy którego stukaniu spać niepodobna. Wyprostowała się, spojrzała na synową oczyma, w których przemknął błysk dwudziestoletni, i cichym szeptem zaczęła:

— Moja Julciu...

Ale chuda kobieta, ze znużoną twarzą, wpadła jej w mowę:

— Moja mamó, niech się już mama nie sprzecha! Kiedy takie nieszczęście w domu, nie trzeba przynajmniej robić ambarasu.

Robić ambaras! Było to jej staranie wieczne

i gorliwe, aby nie robić nikomu ambarasu. Oczy zgasły, plecy się przygarbiły: miała odejść. Ale Adelka, idąc przez pokój, jak wiatr zaszeleściła suknią. Jest-że sens wkładać suknie jedwabne do czuwania nad choremi dziećmi! Splotła ręce jak do modlitwy:

— Moja Julciu, może pozwolisz, abym tę jedną noc przesiedziała przy nich...

Tu jednak wtrąciła się już Adelka:

— Rozchoruje się pani od niespania i zrobi w domu drugą jeszcze biedę!

A synowa dodała:

— Trzeba, moja mamó, o wieku swoim pamiętać!

Niechże ją Bóg broni, aby miała domowi temu robić biedę jakąkolwiek! O wieku swoim też pamięta. Ma się rozumieć! Jakże mogłaby choć na chwilę zapomnieć o tem, o czem wszystko co chwila jej przypomina?

Odeszła. Tylko co biegła do łóżka chorego wnuka tak lekko, jakby miała lat dwadzieścia, a teraz, gdy przechodzi przez pokój syna, wciąż nad biurkiem pochylonego, stopy jej zaledwie wloką się po ziemi, ból krzyża dolega i głowa smutna, ciężka, o tem tylko myśli, jak zdoła przebyć tę noc nieskończoną, zdala od chorych kociąt, zwłaszcza od Tadzia. Nie wiedzieć, jak mu jest i co się z nim dzieje, — to męczarnia. Wie, że noc głucha przejdzie jej w bezsenności, napelnionej trwogą: więc kibić wątła pochyła się, przygarbia, przybiera pozór starości niedołęznej. Przytem obuwie, płytkie i znoszone, co chwila uderza

o podłogę ze śmiesznym odgłosem: klap! klap!
Jest w tym odgłosie smutny komizm rzeczy zanied-
banych i zniszczonych. Ale wkrótce miesza się
z nim szept przy biurku:

— Mamol! mamol!

Co się stało? Zygmus przemówił do niej! Od
lat wielu nie zdarza się to prawie nigdy. Dawniej
próbowała o tej porze zbliżyć się do pracującego,
pogłaskać go po włosach, przypomnieć potrzebę
spoczynku. Ale spostrzegła, że mu przeszkadza, że
pocałunek ręki, którym odplaca jej nieśmiałą czu-
łość, jest roztargniony lub zniecierpliwiony: więc
nabrała przyzwyczajenia przesuwając się za jego
plecami, z cichością cienia. Teraz on sam ją za-
wołał. Zdziwiona, zbliżyła się natychmiast.

— A co, Zygmusiu?

Prostując grzbiet stężyła od pochylenia i pa-
trząc na nią zpod powiek znużonych, powiedział,
że miał potrzebę zajrzeć dziś na strych, dawno
niezwiedzany przez nikogo, i niespodziewanie zna-
lazł tam w kącie najciemniejszym zegar, o którym
wszyscy zapomnieli.

— Ten zegar z kurantami, co to, — pamięta
mama? — stał w pokoju ojca.

Aż ręce spłotła u piersi, tak zdziwiła się i ucie-
szyła.

— Mój Zygmusiu! Zegar z kurantami! Ależ
pamiętam! jakże mogłabym nie pamiętać! Na stry-
chu, w ciemnym kącie... ot, mój Boże! a dawniej...
Nie śmiałam nigdy zapytać się o niego. Aż się
znalazł! Czy został tam, Zygmusiu, w ciemnym ką-

cie? Czy będę mogła jutro pójść na strych, do tego kąta... zobaczyć?

Mówiła o zegarze, jak o człowieku, wargami drżącymi.

— Myślałem, że widok tego grata sprawi mamie przyjemność, więc sam, ze stróżem, zanieśliem go do pokoju mamy. Stoi tam przy ścianie. Klucz do nakręcania na szafce. Zardzewiał trochę.

Zaprzagnęła podziękować, głowę syna, który pomyślał o sprawieniu jej przyjemności, ramieniem ogarnąć; ale ta głowa była już pochylona nad arkuszem papieru, a ręka zatapiała pióro w kalamarzu.

— Tak późno, Zygmsiu... zdrowie stracisz — szepnęła.

Pisząc już i nie podnosząc oczu, odpowiedział:

— Cóż robić, moja mamó? Tak trzeba!

Oddaliła się, myśląc: to prawda! tak trzeba! Uczciwy jest, ma obowiązki ciężkie, czyni im za-
dość wytrwale, twardo. Tylko w potrzebach ciężkich i w pracy twardej serce jego ocieźżało i stwardniało. Nie zanikło przecież. Pamiętał stary zegar, na widok jego pomyślał o matce. Miał serce, tylko na rozczulanie się czasu nie miał. Życie jest takim: przyciska serca głazami ciężkimi, aż skureczą się, a czasem i skruszą. Szkoda serc, bo są to jedyne niefałszywe brylanty świata. Cóż, kiedy tak trzeba!

Znowu raźnie, lekko wstępowała na ciemne wschodki. Pilno jej było powitać przyjaciela starego, świadka czasów przeminionych, który posia-

dał nietylko oblicze, ale i głos. Miała takie uczucie, jakby się dowiedziała o powrocie jednego z tych, którzy odeszli. Ktoś kochany zmartwychwstał. Biegła powiedzieć zmartwychwstałemu: jak się masz? czy pamiętasz?

IV.

Miał już chyba lat ze sto i niegdys̄ czasy wielkiej świetności. Był lubiony, oglądany, podziwiany, w porach właściwych starannie pobudzany do życia i śpiewu, aż przyszedł czas, że wsunięto go w kąć ciemny; zniknął ze świata i umilkł, jak się zdawało, na wieki. Teraz, nagle, wydobyto go z więzienia, w którym upłynęły mu długie lata.

Była to najprzód szafka hebanowa, dość wysoka, wązka, z bronzowemi ozdobami na powierzchni czarnej i z okrągłym otworem u góry. Przez ten otwór, w obwódce bronzowej, wyglądało oblicze zegara okrągłe, żółtawe, z dwunastu znakami rzymskimi dokoła i dwiema długimi liniami wskaźników. W świetle lampy ukazywały się wyraźnie ślady zaniedbania, któremu uległ: szczyrby na drzewie, rdza na bronzie; ale pył otarto już zeń starannie i klucz do nakręcania złożono na szczycie szafki.

Babunia stała o dwa kroki przed starym zegarem, z głową, w białym czepku, nieco podniesioną, z wyrazem zadziwienia we wzniesionych oczach. Zwiędłe jej powieki mrugały prędko; na

czole wysokiem sieć drobnych zmarszczek pogłębiła się i kołysała, jak fala wodna. Potem cienkie wargi poruszać się też zaczęły; coś zaszepotała i głową wstrząsnęła tak, jakby mówiła: »Jak się masz? Pamiętam! pamiętam! czy pamiętasz?« Ale nie przybliżyła się jeszcze i ciągle z podniesioną głową patrzała.

Zegar wzajemnie patrzył na nią z góry przez okrągły otwór z brązową ramką. Linie wskaźników, czarne na tle żółtawem, szeroko rozwarte, nadawały mu wyraz powitania i, jak ramiona rozpostarte do uścisku, mówiły: »Jak się masz? Zbliż się! I ja pamiętam! a jakże! pamiętam!«

Kilka minut upłynęło. Dwa stare oblicza, kobiety i zegara, jedno z dołu, drugie z góry, patrzyły na siebie bez szmeru i ruchu, w świetle małej lampy u łóżka okrytego pościelą szczupłą, z krucyfiksem na ścianie.

Po kilku dopiero minutach babunia, znowu z pośpiechem dwudziestoletnim, przystawiła stółek do szafki i, stanąwszy na nim, zaczęła oglądać zegar zblizka i ze stron wszystkich. Cały, caluteńki, z wierzchu. Ciekawość, jak tam jest wewnątrz. Można się o tem przekonać po nakręceniu. Niegdyś nakręcać go umiała; potrafi i teraz. Zna go, odkąd żyje. Stał w pokoju jej ojca, potem męża. W dzieciństwie jej wybijał godziny zabaw i nauk, w wieku dojrzałym — szczęścia i smutku; wybił tę godzinę straszliwą, w której odszedł ją na zawsze jej Jaś najdroższy. Grywał pieśni, nie pamiętała już jakie, lecz które co godzina rozlegały się po domu, zaprawiając melodyą cisze nocne, roz-

mowy gwarne, szepty poufne. Zapragnęła teraz tych pieśni, jak mowy przeszłości zmartwychwstającej. Aby je od zegara otrzymać, trzeba go było w pewien szczególny sposób nakręcić. W zwykły sposób już to uczyniła i — o dziwo! — bez zwłoki najmniejszej, oblicze nieme przez lat wiele zaga- dało szmerem, trochę ochrypłym, lecz doskonale miarowym: tak, tak! tak, tak!

Już stary zegar nie tylko patrzył, ale i mówił. Gdybyż zaśpiewał jeszcze!

Z kluczem w ręku zaczęła oglądać powierzch- nię zegara, — przypominać sobie, próbować. Przykładała do punktów różnych klucz i palce, na- ciskała, otwierała, przesuwiała, majstrowała, z ta- kiem nateżeniem uwagi i chęci, że zmarszczki czoła zbiegły się pomiędzy brwiami w jedną grubą fałdę, wargi wyduły się, oczy piwne nabrały ogników złó- tych. A oko w oko z tą twarzą kobietą, pomar- szczoną i skupioną, oblicze zegara, okrągłe i żółtawe, przybierało wyraz wesołości żartobliwej, bo świa- tło lampy igrało po niem błyskami migotliwemi, od których też stare bronzy na szafce zapalały się gdzieś iskłą swawolną.

Nakoniec! pod palcami babuni coś zgrzytnęło, wysunęło się, zasunęło... Zegar i wewnątrz cały, nie- zepsuty: będzie grał kuranty! Będzie, lecz nie na- tychmiast. Grywał zazwyczaj przy wybijaniu go- dzin; kwadrans jeszcze zaczekać wypadnie. Zaczeka w ciemności, bo nie potrzeba nadaremnie zużywać nafty — i oczy lepiej odpoczną bez światła.

Wygodnie usiadła w starym fotelu, zgasiła lampę i — zadziwiła się przyjemnie. Mniemała, że

pokój napełni ciemność gruba, tymczasem stanął on cały w świetle prześlicznem. Kędyś, pod niebem nocnem, płynęła zwolna twarz księżycy i uderzała w małe okno smugą światła, podobną do wstęgi blado-złotej. Plecami oparta o staroświecką poręcz fotelu, babunia siedziała u skraju smugi księżycowej, która posrebrzała jej stopy i suknię, głowę pozostawiając w pół zmroku. O parę kroków za nią, także w pół zmroku, stał przy ścianie zegar stary, dobywając z czarnej szafki, jak munię z futerału, oblicze okrągłe i białe. Babunia, ze splecionemi u piersi rękoma, patrzyła na wstęgę blado-złotą, ukośnie spływającą od nieba promiennego do biednej podłogi z grubych desek, gdy o słuch jej uderzył dźwięk nieco chrapliwy, jeden tylko, donośny. To zegar wybił godzinę popołudniową. Wnet potem, w bladym świetle księżycowem i w ciszy głębokiej rozległa się muzyka — poważna, szeroka, niekiedy tkliwa, jak miłość kochanków, niekiedy dumna, jak tryumf rycerza, — muzyka poloneza.

Babunia oderwała plecy od wysokiej poręczy fotelu, palec przyłożyła do warg, które zadrżały. Cyt! To ten sam polonez, którego grała na jej weselu orkiestra huczna, którego ona tańczyła z Jasiem w sukni ślubnej, z wieńcem mirtowym na włosach, w sali, napełnionej światłem rzęsiem i tłumem twarzy znanych, kochanych!...

Zegar gra; słyhać w nim trąbki, fleciki, harfy, czasem waltornia uderzy w bas głęboki, a czasem niespodzianie, melodyę porywa chór dzwoneków cichych i, wydzwoniwszy frazes muzyczny, zwraca

ją trąbkom, flecikom i harfom. To kurant starego zegara — ten sam polonez, którego ona tańczyła z Jasiem na swoim weselu...

W sali, napełnionej światłem ognistem, młody i rażny, z szerokiem czołem pod złotemi włosy, z rozkochaniem w błękitnych oczach i z czapeczką kwadratową w ręku, idzie on ku niej, całej w bieli, spłonionej, szczęśliwej. Stał przed nią, ręką, trzymającą czapeczkę, uczynił szeroki gest zapraszający, drugą ujął jej rękę, i poważnym polonezowym krokiem poszli razem w światło rześiste, w tłum twarzy kochanych, w radość bez skazy, w szczęście bez granic.

Zegar grał, na oczy babuni opadała zasłona wilgotna, lecz, gdy po chwili skupiła się w kroplę dużą i na blade ręce opadła, oczy rozszerzyły się od zdumienia, trwogi, a usta zaszeptały nieprzytomnie: »Co to? kto to? o, Boże!« Z ciałem bezwładnem od zdumienia i trwogi, z głową odgiętą na poręcz fotelu, z ramionami, które podniosły się i drżące w powietrzu zawisły, babunia patrzyła i szeptała: »Co to? kto to? o, Boże!«

V.

Od nieba promiennego ku biednej podłodze z grubych desek, po ukośnej wstędze blado-złotej, zstępował poważnym polonezowym krokiem człowiek młody i rażny, z szerokiem czołem pod złotemi włosy, z rozkochaniem w błękitnem oku,

z czapeczką kwadratową w rękę. Poznała go, patrzyła, z ramionami zawieszonemi w powietrzu a tymczasem zegar grał i on szedł, od nieba ku jej stopom, aż stanął przed nią i ręką, trzymającą czapeczkę kwadratową, uczynił szeroki gest zapraszający. Nie mogła jeszcze uczynić poruszenia najłżejszego; więc on zatopił w jej oczy spojrzenie, które znała tak dobrze, pamiętała tak głęboko, i z cicha rzekł: »Pójdź ze mną!«

Wtedy powstała i, zupełnie tak samo, jak na wieczorze weselnym, z pochyloną głową położyła rękę na jego otwartej dłoni. Zegar grał, a oni, poważnym polonezowym krokiem, z twarzami ku sobie obróconemi, szli po wstędze blado-złotej, od biednej podłogi z grubych desek ku niebu promienistemu, coraz wyżej...

Szła lekko, stopami zaledwie dotykając drogi oświetlonej, i długo z pośród uczuć rozmaitych głos jej wynurzyć się nie mógł, aż przemówiła:

— Jak to dobrze, żeś przyszedł po mnie, Jasiu! Tak długo i ciągle tęskniłam za tobą.

On odpowiedział:

— Bóg kocha serca wierne i powraca im miłość szczęśliwą.

Uczuła, że tak było, bo fala napowietrzna, kojąca, ciepła, pełna rozkoszy przeczystej, okryła ich oboje płaszczem rozwieszonym. Tak połączeni, szli dalej, coraz wyżej, a za nimi ziemia coraz dal-sza, na nizinie coraz głębszej, malała, znikiała.

Z twarzą, ku jego twarzy obróconą, mówiła:

— Jakiś ty młody, Jasiu! Gdy odchodziłeś, włosy ci bieleły i plecy garbiły się trochę: a teraz

jesteś zupełnie takim, jakim byłeś, gdy, siedząc przy moich krosienkach, po raz pierwszy rzekłeś, że mnie kochasz.

Z uśmiechem wskazał wstęgę blado-złotą, po której szli i rzekł:

— Popatrz!

Spojrzała — jak dziewczyna w strumieniu przejrzała się we wstędze, usłanej z promieni, — i zobaczyła siebie młodą, wysmukłą, hożą, całą w bieli, z mgłą ślubnego woalu na włosach kručzych. I nie tylko zobaczyła, ale także uczuła się młodą, hożą, gibką, ze stopami, zrywającemi się do biegu, z powiekami, wstydliwie opadającemi na oczy olśnione i zdumione. Płonąc radością i zawstydzeniem, szepnęła:

— Gdzież się podziały lata, które, jak ciężkie pługi, orały mi ciało i duszę?

On, razem z nią pochylony nad zwierciadłem blado-złotem, odbijającym postacie młode i napowietrznym płaszczem miłości okryte, odpowiedział:

— Bóg kocha ciężko strudzonych i wraca im młodość.

Znajdowali się już bardzo wysoko, wśród gwiazd, których kule ogromne, złote, rubinowe, szmaragdowe, zakreślały w przestworzach nieskończonych harmonijne elipsy i koła. Nieskazitelną czystość eteru rozlegała się po tych przestworzach; w ciszy, pełnej światła, linii, ruchów zgodnych a swobodnych, młeczne drogi rozwijały kobierce, gubiące się w nieskończoności; komety świetlne przelatywały, szumiąc warkoczami, splecionymi z pło-

mieni, jak bory, gdy po ich wierzchołkach szumią skrzydła orkanów niebieskich. Oboje teraz, młodzi i piękni, okryci płaszczem miłości szczęśliwej, nie szli już, ale płynęli nad wstęgą blado-złotą, coraz wyżej. Ona ręce zaplotła mu u szyi, on kibić jej objął ramieniem i z ustami przy jej czole mówi:

— Otwórz serce i pokaż mi je aż do dna. Opowiedz wszystko, skarż się, oskarżaj. Nim dopłyniemy do celu, złóż w dłonie moje wszystkie brzemiona, które niosłaś, abym je mógł pokazać tam, jako okup wejścia dla ciebie...

Jeszcze nie skończył, a ona zaczęła już spełniać jego żądanie. Stało się to bez żadnego udziału jej woli. Prostu, ufność bezgraniczna przyszła i serce jej na oścież przed nim otworzyła. Rok po roku, dzień po dniu, od momentu, w którym się rozstali, aż do tego, w którym przyszedł po nią, z ust jej popłynął różaniec paciorek ciemnych, po których gdzieniegdzie tylko ślizgały się blade światełka. Z głową, złożoną na jego piersi, mówiła wszystko, żaliła się, opowiadała i jednego tylko z żądań spełnić nie mogła: nie oskarżyła nikogo. Bywała opuszczoną i zapomnianą, dusza jej żyła długo w osamotnieniu i chłodzie; ale nikt temu nie winien, nikt! Wszyscy biedni na ziemi, wszyscy ciężkie brzemiona dźwigają: więc i ona dźwigała swoje, bo widać tak było potrzeba; a zawsze czuła to i myślała, że małej, w cierpieniu i winach wszystkim równej, przystoi jej tylko — przebaczać i milczeć. Więc nawet przed duszą własną nie oskarżała nikogo, a odkąd się z nim rozstała, nie opowiadała duszy swej przed nikim. Ale teraz,

gdy to czyni, czuje, że wraz ze słowami wychodzą z niej wszystkie gorycze i żale, a natomiast wstępuje taka lekkość, jakby straciła wszelki pyłek brzemion ziemskich, a w zamian dostała — skrzydeł.

Znowu zatrzymał ją i, wskazując na szlak promienny, nad którym płynęli, rzekł:

— Popatrz!

Spojrzała i w zwierciadle blado-złotem zobaczyła, że u jej sukni ślubnej wyrosły skrzydła. Krzyknęła z podziwu, ale nie był to krzyk taki, jakie rozlegają się na ziemi, bo z ust jej wyszedł akordem muzycznym, wydłużonym w pieśń radośną, która, lecąc od gwiazdy do gwiazdy, echami zaczepiała każdą i razem z gwiazdami płynęła w przestworza nieskończone. On zaś rzekł:

— Bóg kocha cierpiących bez skargi i daje im radość bez granic!

Płynęli dalej, w napowietrznym płaszczu miłości szczęśliwej, z lecącą przestworami pieśnią radości bezgranicznej, coraz wyżej.

Patrząc na niezmaconą pogodę jego oczu, przypomniała sobie chmury ciężkie, które się niegdyś w nich odbijały, i zapytała:

— Czy jesteś zbawiony?

On zapytaniem wzajemnem odpowiedział:

— Czy pamiętasz, co najwięcej kochałem na ziemi?

— Pamiętam — odrzekła. — Nade mnie, nad siebie i nad wszystko swoje kochałeś to, co nie było dla ust twych żywnością, ani dla ciała twójgo schronieniem, ani dla głowy twej wieńcem chwały, ani dla piersi twej tarczą obrony. Przeci-

wnie, miłość ta była nieszczęściem twojem, chmurami przeglądała się w twych oczach, i może przez nią — zawsze to sobie myślałam — przedwcześnie opuściłeś ziemię. Teraz przyobleka cię pogoda niezmacona.

Gdy przestała mówić, odpowiedział:

— Bóg kocha tych, którzy cierpią nie za siebie — i daje im niebo.

Byli już u wrót nieba; głos jego utonął w wybuchającym tu chórze głosów potężnych.

Po przestworzu rozpościerała się zasłona, nieścigniona okiem, w której przezroczech kryształowych płonęły wszystkie dyamenty i rozwijały się wszystkie kwiaty, jakie były kiedykolwiek w łonach i wykwitwały z łon światów wszystkich. Wznosiły tam arkady wszystkie tęcze i rozwijały się w kobierce wszystkie mgławice, zorze, jutrzeńki, jakiegokolwiek zdobiły kiedy wszystkie niebiosy; i, cokolwiek na globach niezliczonych, wirujących po przestrzeniach bezgranicznych, było zaczątkiem piękności, wszelka barwa, linia, forma, nosząca w sobie jej pierwiastek, tu dosięgało pełni swej doskonałej. W tej zasłonie, rozpostartej u wrót niebieskich, odbijało się wszystko, co tylko było pięknem na światach niezliczonych, ale w spotęgowaniu, tak niepojętem dla istoty ziemskiej, jak są dla niej niepojętymi: Wszecmoc i Bezmiar.

U bezmiaru zaś piękności, z którego była utkaną zasłona niebieska, grał bezmiar tonów. Gwiazdy, w wiekuistych podróży swych tu przybywające, obracały się na swych osiach z graniem zgodnem i łagodnem, komety przelatujące ziały

pieśnią materyi, topiącej się w ogniu, eter dzwonił po kryształach, a morza, puszcze, otchłanie bezdenne, skrzydła niezliczone, wszystkie płomienie, gorejące na wszystkich światach, szumiały chórem gam, przebiegających wszechświat od krańca do krańca.

Lecz w tym hymnie ogromów pełno też było — o, dziwo! — głosów bardzo drobnych. Wyglądało to tak, jak szczebioty ptactwa malutkiego, szmery robaczków, pełzających w trawach, szelesty, z jakimi kielki roślinne dobywają się z ziarn pękających, kwilenie w kolebkach, łkania w cichych nocach... muzyka gwiazd, komet, eteru, mórz, puszczy, skrzydeł i płomieni — nie zagłuszała wcale tych głosów maluczkich: owszem, osiewały ją one, jak ziarenka maku rolę bezbrzeżną, wyraźne, równe jej i — równie słuchane.

Kobieta w sukni ślubnej, ze skrzydłami u ramion, z rękoma, zarzuconemi na szyję najdroższą, stała u zasłony, okrywającej wrota niebieskie i — słuchała. W zachwyceniu i podziwieniu słuchała muzyki potęg, lecz najsilniej słuch jej wabiły głosy malutkie. Pośród nich żyła, z pośród nich tu przyszła.

— Czy słyszysz, Jasiu? To w pierwszym dnia brzasku szary wróbel odzywa się pod dachem, a ten szmer cichy wydaje bożą krówką, gdy z jednego źdźbła trawy przesuwają się na inne. Z takim szelestem kłós zboża, przez wiatr dotknięty, kłania się kłósom innym... a to westchnienie... o, jakże mi znane! to Zygmund, po pracy znoјnej, z głową bezsenną, przewraca się na pościeli i wzdycha. Czy słyszysz, Jasiu?

Wtem, wśród ziarn maku, rozsianych po roli bezbrzeżnej, jedno jeszcze zawołało ku niebu. Była to muzyczka drobna, złożona z trąbek, flecików i dzwonków. Kędyś, na nizinie, stary zegar z kurantami grał...

— Czy słyszysz, Jasiu?

Słuchał. Z ziemi, z pod dachu, rzuconego pomiędzy tysiące dachów, dobywała się muzyczka drobna, lecz poważna i szeroka, niekiedy tkliwa, jak miłość kochanków, niekiedy dumna jak tryumf rycerza — muzyka poloneza. Słuchał — i niebieską pogodę jego oczu powlekać zaczęła łza.

Strwożona zapytała:

— Czy zbawieni płaczą?

On odpowiedział:

— Są na ziemi takie opary, które wzbijają się łzami do oczu nawet — zbawionych.

Wtem z roju głosów malutkich, usiewających potężny chór ogromów, dobył się jeden jeszcze; był to wyraźny żałosny płacz dziecka.

— Tadzio płacze!

Przestała słyszeć gwiazdy i morza; słuchała płaczu dziecka.

— Czy słyszysz, Jasiu? Tadzio płacze... Biedactwo bardzo chore i jest tam przy nim kobieta z zimnemi oczyma, która szelestem sukni jedwabnej budzi go ze snu. Coraz mocniej płacze... Ja jedna uciszać, pocieszać go umiem. Ach, jak płacze! Czy słyszysz, Jasiu?

Nie słyszał. Z głową, pochyloną ku nizinie odległej, wsłuchiwał się w kurant zegaru, śpiewający o tem, co najwięcej kochał na ziemi, co nie było

dla ust jego żywnością, ani dla ciała schronieniem, ani dla głowy wieńcem chwały, ani dla piersi puklerzem obrony — lecz tylko dla serca miłością i bólem bez granic.

W pobliżu zaś zegara, grającego kuranta, rozlegał się wciąż płacz dziecka, coraz głośniejszy, zmieszany z wołaniem coraz żałośniejszem:

— Babuniu! babuniu!

Kobieta od wrót nieba krzyknęła ku ziemi:

— Idę, kocię najdroższel! idę, lecę!

Zleciała ze wstęgi blado-złotej i z pośród gwiazd grających, z pod zasłony, utkanej z bezmiaru piękna spadła, w próżnię ciemną, głuchą, bezdenną.

VI.

Od dość już dawna, kędyś na niebie, tarcza księżycy zsunęła się z widnokręgu i pociągnęła za sobą wszystkie swoje światła; poszła też z niemi za światy wstęga blado-złota, która przez okno pokoiku babuni spływała od nieba promiennego do biednej podłogi z grubych desek. Teraz okno to kwadratową płachtą szarą przerzynało ciemność czarną. Babunia obudziła się w czarnej ciemności i w ciszy głuchej. Tylko stary zegar nad jej głową tętniał miarowo: tak-tak!, tak-tak! a z dołu zpod podłogi dochodził płacz dziecka głośny, żałosny.

Oczy babuni pełne jeszcze były światel niebieskich i rysów oblicza najdroższego; w uszach jej brzmiała muzyka gwiazd coraz dalsza, kona-

jąca, twarz oblał strumień łez. Ale z twarzą w łzach stała wyprostowana, szepcąc:

— Tadzio płacze!

Drżącemi rękoma zapaliła lampę, w której świetle oblicze zegara spojrzało na nią z góry i wskaźnikami, szeroko rozstawionymi, objawiło zdziwienie niezmiernie.

— Wróciłaś? Jak to! Od wrót nieba wróciłaś? Zatrzęsła głową.

Ale na rozmowę z przyjacielem starym czasu nie miała; już zstępowała ze wschodów prędko, śpiesznie, aż znalazła się w pokoju chorych dzieci.

Wandeczka cicho leżała w pościeli, lecz Tadzio bardzo płakał. Babunia, z głową podniesioną, przebiła się do niego przez gromadkę niewiast, naradzających się i strwożonych. Teraz pomiędzy nim a nią nikt stawać nie może. Ona dla niego wróciła od wrót nieba.

— Kocię najdroższel

— Babuniu!

Chociaż miał lat kilka, był wątłym, lekkim, i babunia, dźwignąwszy go w ramionach, nosić zaczęła w słabem świetle lampy nocnej, pośród cieni, które od sprzętów padały na ściany. Chodząc, głosem drżącym, czasem aż dygocącym, nuciła stary kurant zegara.

Płacz dziecka ustawał, zmieniał się w ciche chlipanie; twarz drobna, rozpalona gorączką, miłośnie tuliła się do ramienia najdroższego, aż głosik splakany przemówił:

— Babuniu, *wielse!*

— Wiersze, kocię najdroższe! chcesz wierszy?
dobrze, zaraz będą!

Wśród długich cieni, które od sprzętów padały
na ściany, w słabym świetle lampy nocnej, nosząc
go w ramionach, posuwistym, polowozowym kro-
kiem, to w jedną stronę, to w drugą, na nutę sta-
rego kuranta trochę śpiewać, a trochę mówić zaczęła:

— Dwór pod lipą stoi biały,
Pod Piastowym dębem chata...

A on, który znał to już dobrze, razem z nią
mówił dalej:

— Nad nią bocian gniazdko splata,
A w niej zije lud zuchwali.



dlc. 131/13d.

I

2718.